

Wyspiański: Portret dziewczynki. (Patrz artykuł Cieślewskiego)

DZIŚ I JUTRO

DWUTYGODNIK DLA MŁODZIEŻY

ROK XIII POZNAŃ, 15 MAJA 1937 NR 17

W białym pałacyku zamieszkała Historia

Zwiedzamy Belweder.

W hallu, tym znajomym oszklonym hallu, na malinowym chodniku, obok szacownych zbroi rycerskich z XV wieku, pod „Umierającym gladiatorem" Giordano Luca, zebrała się grupa zwiedzających.

Wielka była cisza, gdy zabrzmiały słowa przewodnika:

— Belweder, siedziba mieszkania, pracy i zgonu Pierwszego Marszałka Polski jest obecnie przybytkiem narodowym, z inicjatywy premiera Sławka i jego rządu oddany uroczystą ustawą w wieczne użytkowanie Muzuem Józefa Piłsudskiego, gdzie dla następnych pokoleń będzie przechowane w stanie nienaruszalnej pamiątki, wszystko związane z osobą Wielkiego Wodza Polaków.

Marszałek Józef Piłsudski przeżył w Belwederze 13 lat. Tu, jako Naczelnik Państwa, młode zręby Rzeczypospolitej zakładał. Tu, jako Naczelny Wódz, organizował wojsko polskie, by krwią żołnierską i chwałą pól bitewnych dać trwałe granice dzisiejszej Polsce, tu wreszcie mocą swego Ducha i swym Sercem własny naród zwyciężył, do wielkości i potęgi podniósł...

Stają teraz wszyscy u wejścia do pokojów i — nikt progu przestąpić nie śmie... Zalega długa, bardzo długa chwila milczenia...

Ruszamy.

Prowadzi dyrektor muzeum. Opowiada. Prosto, jak najzwięźlej. Ale proste słowa prześwietla uniesieniem wielka miłość. Głos żołnierski łamie się czasem ukrywanym wzruszeniem.

— Tu późnym wieczorem dnia 29 listopada 1918 wprowadził się Wielki Marszałek — zaczyna. — Przybył po przedstawieniu „Nocy Listopadowej" w teatrze Wielkim. Nie stały tu jeszcze warty. Hołd Mu oddały tylko cienie Belwederczyków Ludwika Nabielaka. Dlatego zarządził, by wartę przy Nim objęła Szkoła Podchorążych. W parę dni potem, 1 grudnia, poświęcił nową siedzibę Marszałka ks. rektor Gralewski.

Oto sprzęty, obok których On przechodził, oto przedmioty, na których spoczywały Jego oczy, które On lubił i kochał...

Pierwsza poczekalnia. Wokoło widome znaki hołdu Polski. Rzeźbione dary Ziemi Polskiej, obrazy, czołg, który darowali Mu robotnicy fabryki broni.

Dalej następne poczekalnie i pokój przyjęć. Tu przybywano z hołdem i służbowo. Składano podpisy. Potem — kondolencje... Piętrzą się ich grube albumy. Tu też króluje białe popiersie Prezydenta Narutowicza.

Mijamy wąski pokoik adiutanta, obwieszony czarnymi skrzynkami telefonów. W sąsiednim pokoju stoimy długo przed szafą z ostatnim mundurem Marszałka. Mundur z 20 roku, szara bez żadnych ozdób kurtka legionowa i ostani płaszcz z czarną opaską, po śmierci Siostry.

A oto biblioteka...

Sześć szaf mahoniowych. Wszystkie pełne książek. Ślady częstego czytania noszą „poezje" Słowackiego i gruby tom Kroniki Litwy, Żmudzi i Białorusi Stryjkowskiego z XVI w. W pociesznych historiach o Litwinach tej Kroniki lubował się wielce Marszałek. On, który cenił humor. Brał nawet nieraz ze sobą w podróż owe grube tomisko. Jasny, niewielki pokój stołowy z widokiem na park tchnie ciszą, pogodą i wielką prostotą.

Tu przy okrągłym stole siadał codziennie Marszałek do obiadu. Jadał skromnie.

Wszystko żyje w tym jasnym kąciku. Lśnią na małej biblioteczce śliczne czareczki z Rumunii, które sam sobie przywiózł. Bieleje w niskim kredensiku Jego nakrycie.



Na zielonej kanapie, w kącie pokoju, niedbale rzucona Jego ulubiona okrągła poduszka w promieniste pasy żółto-białe.

Nad pastelowym portretem panny Jagody — gwiazda i koniki morskie, przysłane z podróży na południe przez ś. p. Michalinę Mościcką...

Na palcach, z zapartym tchem, wchodzimy do sypialni.

Proste, ciemne łóżko, nakryte ludowym w kratki kilimem. Ten kilim to dar uczennic szkoły w Puławach. A kapa na poduszkę — przysłana z Litwy... zza kordonu...

Nad łóżkiem, na cennym spłowiałym kilimie — portret brata Bronisława, ryngraf rycerski i duży sztych Napoleona.

Na stoliku na prawo piękny portrecik Matki w złotej, owalnej ramce. Był tu jeszcze obrazek Ostrobramskiej, ukochany, z którym Marszałek nigdy się nie rozstawał. Położono Mu go też na piersi w podróż ostatnią...

U wezgłowia bukiecik świeżych kwiatów. Zawsze tak samo stawiano Mu te świeże kwiaty.

Skupiona uwaga zmienia się w bezmierną żałość, gdy ogląda się drobiażdżki do Niego należące. Oto maleńki talerzyk w kwiatki. Jadał na nim owoce przed snem. Przed późnym snem, bo nieraz kładł się na spoczynek przed 2-gą w nocy. Małe, blaszane pudełko landrynek, które lubił... Błysk termometru zalewa serce żalem. Wspomnienie bolesnej choroby.

Wokoło na ścianach, w obrazach — wszyscy i wszystko co kochał. Subtelne, kredkowe portrety córek, fotografia siostry — Zofii Kadenacowej, widoki Wilna i Zułowa... I łeb Kasztanki, pendzla Kossaka, nad olchową umywalnią.

Jeszcze zielony gabinet...

Przed lustrem zeschła choina z Kireńska na Syberii, miejsca zesłania Marszałka jeszcze z czasów studenskich. Przywiózł mu ją do kraju, major Lepecki. Między oknami poczerniały, szacowny portret przodka Marszałka — Jana Kazimierza Rymszy Giniatowicza Piłsudskiego, urodzonego w roku 1610.

I wreszcie pokój narożny.

Tu, ciężko już chory, ostatkiem sił pracował Marszałek. Ten kąt był Mu najmilszy z całego pałacu Belwederskiego.

I tu 12 maja, o godzinie 8,45 wieczorem przestało bić Jego wielkie Serce!...

Stajemy przed progiem. Wszyscy milczą. Nikt nie objaśnia, nikt o nic nie pyta.

Pośmiertna, bronzowa maska na prostej, czarnej sukiennej poduszce.

Na mahoniowym owalnym stoliku podniszczone karty do pasjansa. Obok — okulary...

Pośrodku wielkiego o szklanym blacie stołu — duża lśniąca lupa. Ten stół — to plan Zułowa... Nie dzisiejszego Żułowa... Takiego jak był za lat dzieciństwa Józefa Piłsudskiego.

Przed tym planem siadał często lub klękał w fotelu i długo snuł córkom opowieść swych dziecięcych dni, bajkę rozjaśnioną najtkliwszymi wspomnieniami, zaprawioną tęsknotą. O jazdach konnych, o kąpielach, spacerach łódką, o stawach, ścieżkach i drzewach. Rozpromieniał się wtedy, wzruszał i śmiał jak dziecko...

Ostatni, był w tym pokoju przyjęty w dniach 9 i 10 maja ub. r. minister Józef Beck. Przedstawiciela Francji, ministra Lavala, przyjąć już Marszałek nie zdołał.

Parę cichych kroków i wstępujemy w czerń kaplicy.

Ściany, aż do stropu obite kirem, nie przepuszczają ani promienia światła.

Nad katafalkiem skrzyżowane sztandary, świecące urny alabastrowe — nakryte kirem, wieńce i wstęgi od Polski i narodów całego świata.

Obok stara adiutantura.

Tu w 1920 roku urzędował adiutant Naczelnego Wodza. Tu też w niedzielne popołudnia uczestniczył Marszałek z rodziną w seansach kinematograficznych.

Lubił nade wszystko filmy pogodne.

Dalej pokój konferencyjny. Stąd przemawiał Marszałek 11-go listopada 1926 roku przez radio. Jedyny raz w życiu...

I oto wkońcu t. zw. pierwsza sala Muzeum.

Popiersie Marszałka — praca młodego rzeźbiarza Kalmusa. „Jego" płaskorzeźby z bronzu. „Jego" portrety pendzla Malczewskiego i Sichulskiego, widok obecnego Zułowa... W gablotach — niezliczone ordery. Wśród nich, na szafirowo-czarnej wstędze Virtuti Militari I-szej klasy — Wielki Krzyż Naczelnego Wodza za wygraną wojnę. Obok order Orła Białego Naczelnika Państwa, marszałkowski buzdygan, ostatnia szabla i czapka...

W dalszych salach Muzeum mieszczą się rzeczy należące do osobistego użytku Marszałka i dary składane z okazji różnych uroczystości przez rodaków i obcych. Na ścianach widzimy kolekcje portretów Marszałka o niebywałej pomysłowości, w wykonaniu: z drzewa, z kawałków skóry przez jednego szewca wykonany, co chciał w ten sposób okazać swą miłość kochanemu Wodzowi, haftowane, tkane.

Górnicy z Wieliczki złożyli w darze popiersie Marszałka z soli. Wiele innych cennych obrazów, świadczy o wielkiej miłości i wdzięczności narodu. Wzruszeniem przejmuje widok kasztanki wypchanej, dziwnie smutnej...

Pomiędzy drobiazgami w gablocie bieleje nawet maleńka koszulka od chrztu. Każda niemal najdrobniejsza rzecz wzrusza do głębi każdego i nabiera tu znaczenia wielkości.

Czas wychodzić, ustąpić miejsca innym. Do bram Belwederu podąża już wielki tłum.

Pierwsze pielgrzymki...

Teraz będzie tak już codzień — zawsze...

Maria Dąbrowa.

...„istotnie dzieje muzyki, w tem znaczeniu, w jakiem ją dziś pojmujemy, są nierozerwalnie związane z największą rewolucją świata, jaką było Chrześcijaństwo."

Karol Szymanowski.

NAD WIOSKĄ...



Nad wioską cichy króluje krzyż...
Jak ludzka tęskność do nieba bram —
Wysmukły, mocny, pnący się wzwyż,
I, jak cierpienie, zawsze sam.

Spodem się rozsiadł chłopski sad:
Rozkwitłych gruszy baśń i cud.
Gospodarz w boki wsparł się rad.
Plon mu wyrasta, gdzie siał trud.

Niebem obłoków sunie sznur,
Jakby żurawi tęsknych klucz.
Słońce zagląda spoza chmur
Tysiącem jasnozłotych ócz.

Złoci się słoma chłopskich strzech...
Spośród opłotków bije wzwyż
Radosny śmiech, dziewczęcy śmiech.
Nad wioską cichy króluje krzyż...

Wiesław Pyrek.

Medyceusze przeminą, a posągi pozostaną

Kiedy mąż pewnej hrabiny portretowanej przez Matejkę użalał się przed artystą, że jego żona wygląda inaczej niż na portrecie Mistrz odpowiedział, że Pani hrabina powinna tak wyglądać jak on ją namalował. Inny wielki artysta, Michał Anioł, na zarzut, że Medyceusze nie są podobni do siebie na posągach przezeń rzeźbionych odparł, że Medyceusze umrą, a posągi zostaną i nikt nie będzie mógł sprawdzić czy wyglądali inaczej niż na posągach.

Jest rzeczą zrozumiałą, że ktoś kto chce mieć podobiznę osoby, z którą jest w bliskim stosunku uczuciowym — żąda od malarza, aby to podobieństwo było posunięte do ostateczności. Ale co to jest podobieństwo?

Pozornie zdawałoby się, że narysowanie ścisłe, dokładne, tego, co stanowi rysy twarzy, jest podstawą podobieństwa. Ale tak nie jest. Rysunek jest nieruchomy, a twarz drga życiem i dlatego twarz śpiącego, nie mówiąc już o umarłym jest niepodobna do twarzy tej samej osoby podczas czuwania.

Zresztą czy twarz (ta sama) w złości jest podobna do twarzy w śmiechu lub w cierpieniu? Dalej — cztery osoby oglądające jakiś portret różnią się w zdaniach, jedne uważają że jest podobny, inne twierdzą, że nie ma w nim nawet śladu podobieństwa.

Niedawno na wystawie Mai Berezowskiej jedni mówili, że portrety Panien Toeplitz są uderzająco podobne, inni że nie.

Należałem do pierwszych.

Dalej. Są osoby brzydkie, które nie widzą tego — (czy też udają że nie



Malczewski. Portret prof. Szajnochy.

widzą) w zwierciadle, ujrzawszy swój, p o d o b n y w ł a ś n i e portret są oburzone: Ależ to nie jestem ja! Pamiętam, że kiedyś o mało nie udusiłem właściciela zakładu fotograficznego za to, że zrobił mi podobną fotografię. —

Jeszcze dalej. Czy młodzieniec dwudziestoletni jest podobny do mężczyzny pięćdziesięcioletniego albo do starca siedemdziesięciopięcioletniego?

Więc? — Który z Panów X jest Panem X? Dwudziesto, czterdziesto, czy osiemdziesięcioletni?

*

A artysta malarz czy rzeźbiarz albo grafik, wykonywując portret (św. Tomasz mówi, że sztuka jest dziedziną wykonania) wprowadza do niego pewną wartość, której nie znajduje w modelu, ale w sobie. Artysta w i d z i tak lub inaczej modela. To znaczy, że zależnie od temperamentu s p o s t r z e g a w modelu np. jego elegancję, albo jego barwność, jego śmieszność lub ponurość. Model wywiera na portrecište pewne wrażenie. Na złośnika irytujące, na wesołego zabawne i t. d.

Matejko, Lenc, Axentowicz, Krzyżanowski, Malczewski, Wyspiański, i tylu, tylu innych wielkich artystów postawieni wobec tego samego modelu namalowaliby tyle różnych portretów ilu ich było.

I trzeba dużej kultury estetycznej, żeby uznać portret swego krewnego, namalowany przez któregoś z tych mistrzów, za dobry. Każden z nich w inny sposób jest niepodobny, każdy z nich jest podobny ... do swego twórcy. Częściowo fizycznie, a przede wszystkim psychicznie.

Ten sam pejzaż widziany przez czerwoną szybę jest czerwony, a przez niebieską niebieski.

Matejko malował portrety królewsko-dostojne, uroczyste, wspaniałe. Axentowicz eleganckie, wykwintne, wytworne. Lenc charakterystyczne, z wyrazem, rubaszne.



Lenc. Portret pani.

Malczewski monumentalne — symboliczne. Wyspiański, czuło-nerwowe. Krzyżanowski, przesycone pasją. Ten

mdłe, ckliwe, ów ponure. Jeden jaskrawe, drugi przyćmione w kolorach.

*

Każdy człowiek oprócz tego jakim jest — jest jeszcze także takim jakim pragnie być. Czasami zapomina o sobie rzeczywistym i zdaje mu się, że jest kimś innym.

Ten, na widok portretu podobnego, gniewa się. Bo on oczekuje portretu podobnego do swego marzenia o sobie. Mało ludzi z czerwonemi opuchłemi nosami chce mieć portret podobny!

A już jeżeli chodzi o kobiety, te zawsze chcą być na portrecie oszałamiająco piękne, pięknie ubrane, młode i t. d., i t. d.

To też być portrecistą Pani jest to samo co wchodzić do klatki ze lwami.

Niestety wśród najszerszych sfer panuje niekulturalny stosunek do portretu kobiecego. Każda niemal chce być lalką, wyjątki jedynie chcą pozostać ludźmi na portrecie.

Ten też gust wykorzystują dziesięciorzędni malarze, którzy nie mając żadnego prawa do miana artystów, zdobywają uznanie „pięknych pań" za cenę malowania długich, jak pazury bestji, palców (z krwawemi paznogciami i pierścionkami), futer, sukien z tafty, welwetu czy lamy, „palących", „marzących" czy innych oczu.

Jak taki portret wygląda z punktu widzenia malarstwa, kompozycji, wartości rysowniczych, o to mniejsza, byle próżność była zaspokojona. Korowody kobiet na wystawach mniejszych, średnich i małych portrecistów „eleganckich", świadczą ciągle, że kobiety uważają malowanie portretu za coś podobnego do zabiegu kosmetycznego.

A przecież w portrecie ważne są dwa momenty: powaga stosunku do sztuki i powaga stosunku do człowieka. Traktowanie farb jako szminek, pudrów i pachnideł toaletowych uchybia zarówno artyście jak jego modelowi.

Traktowanie człowieka jak pinczerka, któremu się wiąże kokardeczki na szyi uchybia także zarówno artyście co modelowi.



Van Gogh. Portret dr Gachet.

Portret jest dziełem sztuki i musi, tak samo jak obraz, rzeźba czy rycina na inne tematy, odpowiadać prawdom i obowiązkom sztuki.

A człowiek na portrecie powinien być podobny do siebie nie tylko długością nosa, czy kolorem oczu albo krojem marynarki.

Dlatego np. zrobienie z gliny, brązu czy marmuru postaci przygarbionego wojskowego w starszym wieku, ze spodniami w harmonijkę i wiechami wąsów nie będzie portretem Marszałka Piłsudskiego.

Trzeba dać coś głębszego w Jego portrecie! Trzeba w nim dać podobiznę psychiczną. Bo nie chodzi tu o jakiegoś Pana Józefa Piłsudskiego ale o wcielonego w osobę człowieka króla — Ducha, Wodza Narodu! Każdy z nas jest również (w innej mierze, skali) „kimś psychicznym" nie tylko Panem, Panną czy Panią X ze spisu ludności.

Jeden z nas jest elegancki, drugi miłosierny, inny dumny, a ów marzycielski. Dlatego artyści wynajdują sobie modele, które odpowiadają ich

usposobieniom. Nigdy Lenc nie wybierze za modela kogoś, kogo chętnie maluje Wyspiański.

Nawzajem, portretowany powinien szukać odpowiedniego artysty.

Kto chce być na portrecie elegancko-bezduszny, niechże unika Krzyżanowskiego, czy Malczewskiego. A kto chce poprostu wiernej, zwyczajnie życiowo, podobizny fizycznej, niech nie plącze tej sprawy ze sztuką.

Talent chwytania takiego podobieństwa (z zastrzeżeniami na początku) posiadają najczęściej ludzie nie mający żadnego znaczenia w dziejach sztuki.

Z punktu widzenia „rodzinnego" lepszy jest portret podobny, z punktu widzenia sztuki — portret dobrze namalowany jako dzieło sztuki.

Bo jak mówił Michał Anioł — Medyceusze przeminą, a posągi zostaną!

T. Cieślewski, Syn.

Uwaga!

Nie poruszyłem nazwisk aktualnych wystawców na wystawach sztuki nie chcąc się wdawać w krytykę, do której na tem miejscu nie jestem powołany.

Jeżeli zdarzy się wystawa doskonałego portrecisty — omówię ją. Więc cierpliwości!

Serce Serc

„Zginą od prądów chwilowych zawiśli,
Za widmem sławy goniący sztukmistrze,
Lecz nie zaginie siew szlachetnych myśli
I nie przepadną natchnienia najczystsze.

„Choć pracownika noc otoczy głucha,
Wyrosną kwiaty na cmentarnej grzędzie
I nieśmiertelna siła jego ducha
W sercu pokoleń późniejszych żyć będzie."

Powyżej przytoczyłem fragment pięknego wiersza, którym przed czterdziestu laty uczcił czołowy poeta owej epoki, Adam Asnyk — wielkiego pisarza, Bolesława Prusa.

Kto z nas nie zna Bolesława Prusa? Kto nie zachwycał się genialną wizją starożytnego Egiptu w „Faraonie"? Pokażcie mi takiego hipochondryka, co na widok świetnej galerii typów „Emancypantek" nie uśmiechnie się prawdziwie szczerze! Powiedzcie mi o takim, co nie zna Prusowego Ślimaka z „Placówki"! Muszę go ujrzeć na własne oczy, bo wierzyć mi się nie chce, że takie monstrum żyje, chodzi po świętej ziemi i nazywa się Polakiem!

Tak, tak. Rzetelny to wstyd nie znać tego, co — w serce własne zapatrzony — najpogodniejszym przyodział Prus uśmiechem: jego pism, jasnych i prostych.

Wesołe to wierszyczki układał pan Aleksander Głowacki, (co przez skromność przybrał sobie pseudonim Bolesława Prusa) do „Muchy", którą wraz z Edwardem Lubowskim redagował. Aż cały dwustustronicowy tom anegdotek i dykteryjek, ku uciesze czytelników przez Prusa wykoncypowanych, a zamieszczanych w „Musze", zdołał zebrać i ustalić znakomity znawca powieści polskiej, prof. Zygmunt Szweykowski. Bo pamiętajmy, że Prus, który dał arcydzieło powieściopisarskie „Lalkę", uważaną przez prof. Szweykowskiego za najznakomitszą powieść polską epoki pozytywistycznej, który swoim ogromnym talentem wzbogacił i uświetnił naszą literaturę, który był publicystą i głębokim myślicielem, — posiadał wykształcenie matematyczne. Prus, adept największej mądrości: dobroci, zaczynał swą wielką działalność pisarską od beztroskich wierszyków i humoresek. A potem szły artykuły społeczne, wychowawcze, „Kroniki", pisywane do „Kuriera Warszawskiego", nowele i — powieści.

PAMIĘTAJ

Pamiętaj zawsze o tem,
Że każdy życia dzień
Rozjaśnić możesz złotem
Słonecznych, jasnych lśnień.

Tylko się patrz radośnie
Na życie i na świat —
Wierz słońcu, szczęściu, wiośnie,
Bądź — jak rozkwitły kwiat.

Helena Duninówna.

Spuścizna literacka Prusa zawiera się w 26 tomach i została niedawno ponownie wydana przez Gebethnera i Wolffa. Pod kierunkiem sędziwego uczonego, prof. Ignacego Chrzanowskiego, a w fachowym opracowaniu prof. Zygmunta Szweykowskiego, ukakazało się to piąte z kolei wydanie zbiorowe, a pierwsze — krytyczne i zupełne.

Rok temu, z okazji odsłonięcia w kościele św. Krzyża w Warszawie tablicy pamiątkowej ku czci Prusa, pięknie pisał Kornel Makuszyński:

„Są pisarze największego autoramentu, na których patrzymy, jak na wyniosłe lodowce, co mają głowy w chmurach: z trwożnym podziwem. Bijemy czołem przed innymi, co są jak prometejskie sępy; inni, jak orły szybują na niezmiernych wysokościach; inni, jak tęcze kładą się nad szczytami gór. Do Prusa zaś, wielkiego pisarza, każdy z nas zbliża się skwapliwie, radośnie, z gorącą miłością."

Tę uroczystość, na którą przybyli koryfeusze naszego piśmiennictwa, przedstawiciele społeczeństwa, tłumy publiczności i my, szara brać skrobipiórska, — zaszczyciła swą obecnością ona, wdowa po Bolesławie Prusie, dziś już świętej pamięci, Oktawia z Trębińskich Aleksandrowa Głowacka. Pamiętam tę pogodną, osiemdziesięcio sześcioletnią staruszkę, jak na widok odsłoniętej przez ks. biskupa Ant. Szlagowskiego tablicy, zawołała: — Wygląda jak żywy!

Na tablicy, wykonanej przez siostrzeńca Prusa, artystę-rzeźbiarza Stanisława Jackowskiego, pod znakomicie oddanym profilem wielkiego pisarza, znajdowały się następujące słowa:

„Aleksander Głowacki
Bolesław Prus
Wielki Pisarz
i Nauczyciel Narodu
1847 — 1912."

Najrzetelniejszą prawdę zawierają te słowa. Bowiem Prus nie był tylko pisarzem, ale również wielkim człowiekiem i wielkim wychowawcą: nauczycielem całego narodu. Nauczycielem dobroci i powszechnej miłości.

W jednym ze swych opowiadań, w powszechnie znanym „Antku", pisze Prus o chłopcu wiejskim, odznaczającym się wybitnymi zdolnościami rzeźbiarskimi. Chłopiec ten wyrusza w świat, aby zdobyć naukę, któraby pozwoliła jego talentowi rozwinąć się. Opowiadanie to kończy autor w następujący sposób:

„Może spotkacie kiedy wiejskiego chłopca, który szuka zarobku i takiej nauki, jakiej między swoimi nie mógł znaleźć. W jego oczach zobaczycie jakby odblask nieba, które przegląda się w powierzchni spokojnych wód; w jego myślach poznacie naiwną prostotę, a w sercu tajemną i prawie nieświadomą miłość.

Wówczas podajcie rękę pomocy temu dziecku. Będzie to nasz mały brat, Antek, któremu w rodzinnej wsi stało się już za ciasno, więc wyszedł w świat, oddając się w opiekę Bogu i dobrym ludziom."

Taką mową przemawiał Prus: mową serca.

Całą swoją twórczością literacką wołał o ustanowienie dobroci, zgody

i miłości tego naczelnego wskazania w życiu. Całym swoim życiem uczył, jak tego wskazania strzec należy.

Mógł więc profesor Chrzanowski, wspominając ostatnie lata Prusa, epokę bratnich kłótni i swarów, wyrzec te pamiętne słowa: „Kto z nas nie unosił się wówczas stronniczością? Kto z nas, jeśli nie złorzeczył, to przynajmniej nie miał żalu do tego lub owego stronnictwa? Kto pamięta te czasy (ach!! jak bardzo przypominające dzień dzisiejszy), — ten, jeśli położy rękę na sercu i jeśli ma w nim sumienie, odpowie sobie w cichości ducha: taki człowiek był wówczas tylko jeden — Bolesław Prus."

To też, kiedy 19 maja 1912 r. rozniosła się ta bolesna wieść, że umarł Bolesław Prus, cała Polska wdziała żałobę, cała Polska pytała: czy to możliwe? Bo wydawało się wszystkim, że razem z Prusem umarła w naszej Ojczyźnie najsłoneczniejsza dobroć i miłość prawdziwie Chrystusowa.

Pogrzeb Prusa zamienił się w spontaniczną manifestację całego narodu.

A potem wdzięczni rodacy położyli na mogile swego wielkiego nauczyciela te proste słowa: „Sercu serc".

Dziś, w dwudziestejpiątej rocznicy jego śmierci jesteśmy świadkami wielkiego pozagrobowego triumfu: nieubłagany, sprawiedliwy sędzia — czas — stwierdził, że od śmierci Prusa nie było w Polsce człowieka, któryby, jak on — niezaprzeczalnie zasłużył na miano „serca serc".

Wiesław Pyrek.

Gościnność na ziemi angielskiej

O przysłowiowej gościnności słowiańskiej, w szczególności staropolskiej — wie się niejedno na szerokim świecie. O gościnności Anglosasów? Owszem, słyszy się u nas często, że Anglicy są raczej mało gościnni i tracą przy porównaniu z innymi nacjami.

Jak jest w rzeczywistości?

W kraju, w którym, najmniejsze mieszkanka dwupokojowe posiadają gościnny pokoik na piętrze, w kraju, w którym zapraszanie krewnych i przyjaciół na week-endy, stało się już chronicznym zjawiskiem bez względu na środowisko, stan majątkowy i porę roku — odmówienie obywatelom podobnego kraju cech gościnności — równałoby się nonsensowi!

Że gościnność ta na zgoła odmiennych opiera się kanonach, to sprawa inna! Nie wiadomo zresztą, która z tych rodzajów gościnności jest bardziej do rzeczy i bardziej racjonalna.

Zaznaczam z góry, że ani myślę podważać, lub poddawać analizie naszych wiekowych tradycyj; pragnę tylko porównać pewne zjawiska społeczne tu i tam.

Słowianin przybywający po raz pierwszy w gościnę na wyspę trzeźwego Albionu, pełen natychmiastowej gotowości i pełnego wylania uczuć — współżycia z cudzoziemcami — zostanie niechybnie rozczarowany postawą Anglików, jako gospodarzy.

Zwyczajny gość w domu angielskim, nie staje się zaraz na poczekaniu, według naszego prastarego przysłowia („gość w dom, Bóg w dom") — tym „bogiem pierwszą osobą, dokoła której skupiają się uwaga i starania wszystkich domowników, nie wyłączając nawet najmłodszych latorośli.

Nie przerywa bodaj na krótko toku spraw codziennych gospodarzy, ani też wytrąca z równowagi wytkniętego porządku dnia.

Nie staje się też zaraz kimś takim, kogo trzeba bawić, zamęczać rozmową, nie spuszczać z oczu, nie dać tchnąć samemu, aż na ostatku zakarmić na śmierć, aby ledwo zipał.

O czymś podobnym nic nie wiedzą i napewno wiedzieć nie zechcą Anglicy!

Nieznane są w Anglii gremialne a niespodziewane najścia czy najazdy rodziny, spadające nieraz jak śnieg na głowę ze wsi do miasta, czy też odwrotnie, wywracające cały dom do góry nogami, a już napewno rugujące nawet sędziwych domowników z ich pokojów, łóżek, przyzwyczajeń! Rzecz niebywała w Anglii. Od czego jest telefon, telegraf? Ujęte w żelazne karby stosunki towarzyskie i rodzinne w wiedziny — żyje życiem i przyzwyczajeniami danego domu, odrywając się najzupełniej od własnych spraw, trosk, interesów i w tym tkwi zapewne talizman zupełnego wypoczynku.

Odświeżony na ciele i duszy, żegnany w poniedziałek rano, obdarowany ciętymi kwiatami i nowaliami sezonowych jarzyn czy owoców — zaprosi gospodarzy do siebie, omawiając dzień i godzinę przyjazdu do miasta.



Król Jerzy VI i księżniczka Elżbieta na spacerze.

państwie brytyjskim — nie przysparzają nikomu kłopotu, nie wyłączając służby domowej.

Gość angielski — przybywający na week-end do znajomych na wieś — oddaje się d o d y s p o z y c j i g o s p o d a r z y. Razem z domownikami weźmie czynny udział we wszystkich zatrudnieniach w domu, czy ogrodzie, w przygotowaniach do wycieczki, czy na jakiś mecz sportowy — czyszcząc (dosłownie) i naoliwiając benzynowe rumaki, zaopatrując koszyki w prowizję, naprawiając i reparując rozmaite przyrządy sportowe, podróżnicze i t. d. Słowem, z chwilą przybycia w od-

W tym wypadku wiek, stanowisko, płeć — nie gra roli. Młoda panna pracująca w biurze i mieszkająca w pensjonacie, ma zupełne p r a w o zaprosić do s i e b i e swoich znajomych, jako rewanż, gdy bywa u nich na week-endach. Miss — zaprasza przyjaciół z prowincji do cukierni na towarzyską herbatę poobiednią — five — i ... płaci sama za wszystkich podwieczorek, który wynosi od osoby 1 szylinga (150 gr.) Ta forma rewizytowania wsi i miasta — w cukierniach miejskich i skromnych barach — rozpowszechniła się w Anglii dopiero po wielkiej wojnie. *Hanna Skarbek.*

Nawojka, pierwsza studentka polska

(P o w i e ś ć) (Ciąg dalszy)

„A nie wiesz ty jeden z drugim, że w takim stroju do Akademii przychodzić nie wolno? Tunikę czarną zwaną topieniakiem masz mieć, krótką do kolan z rękawami wąskimi a nie inszą! I uczciwą myckę na głowie nosić, nie taką świecką z piórkami! Skaranie boskie ze wszystkiemi scholarzami" — i mrucząc jeszcze mniej pochlebne opinie o całym rodzie studenckim, zniknął bedel za progiem. Zgnębieni złością urzędnika rektorskiego wydostali się żacy znowu na ulicę. Co robić? Nie pozostawało nic innego jak tylko dostosować się do rozkazu bedela i kupić stosowne odzienie Nawojce. Ale skąd wziąć pieniędzy? Nawojka ani grosza nie posiadała. Pożyczyć od innych scholarzy? Ha, ha, na takie dictum każdyby się żak w kułak roześmiał. Całe miasto przecież dobrze wie, że student Akademii jako ten boży ptaszek litylko tym żyje, co mu dobrzy ludzie dadzą. Zapanowała chwila żałosnego milczenia.

„Gdybyś ty miał coś do przedania" — zaczął nieśmiało Marcin. Nawojka spiesznie wyciągnęła małe zawiniątko chowane za pazuchą. Misternie wyrzeźbione zausznice zalśniły się w blasku słonecznym: to jeszcze matczyne... Teraz Marcin odzyskał swój dawny humor: „Istne cudo, a i tobie jako chłopakowi zgoła niepotrzebne." Zdradliwy rumieniec zakwitł na obliczu Nawojki, ale przyjaciel ciągnął dalej: „Chodźmy prędko spieniężyć zausznice, bo o godzinie 6-tej rozpoczynają się nauki.

Kramy na rynku ciągną oczy porozkładanym wszelakim dobrem. Ale żaków nie nęcą barwne chusty, ni lśniące jedwabie. Obojętnie też przechodzą koło przekupek, wołających: do sera! do chleba! do kiełbas! Celem ich wędrówki są kramy płatnerzy, na prawo od Panny Marii. Tam też pociągnął Marcin swego towarzysza.

Początkowo gruby i czerwony kramarz nie zwracał uwagi na rozmowę żaków, przypuszczając, że kryją się w tym nowe zbytki studenckie, których często doświadczał na własnej skórze. Dopiero kiedy Marcin zamigotał mu przed oczami zausznicami, uznał za stosowne rozpocząć dyskurs: „A ile wy chcecie za to świecidełko" — spytał z udanym lekceważeniem, pod żadnym pozorem nie chcąc się zdradzić, jak mu się te zausznice podobają. Ale prędzej mógłby oszukać chytrego lisa niż żaka Marcina ze Spiża, który przez tak długi pobyt stał się również nieodrodnym dzieckiem Krakowa. „Pięć dukatów" — oświadczył stanowczo „a jak nie, to idziemy do Wojciecha, tego, co handluje o trzy kramy dalej". Oj, dobrze wiedział Marcin, co czyni wspominając imię znienawidzonego konkurenta. „Dwa dukaty, więcej dać nie mogę, tak mi święty Kapistranie dopomóż!" „Pięć, pięć" — krzyczeli żacy i udawali, że odchodzą. Wtedy kramarz przytrzymywał ich za suknie i po długich targach i narzekaniach wysupłił z zatłuszczonego woreczka żądaną sumę.

Jakże bogatą, niemal królom równą, czuła się teraz Nawojka. Co spojrzy na jakiś skarb na kramie, zaraz wydaje się on jej własnością! I przysmaki wszystkie, owe zapasy na wozach kmiotków i chusty barwne...

Marcin nie pozwolił przyjacielowi na takowe medytacje... Trzeba było spiesznie odzienie kupować i duchem gnać z powrotem na ulicę św. Anny, by się nie spóźnić na lekcje... Zdążyli jednak na czas. W swojej celce przebrała się Nawojka w czarny topieniak i w studenckim mundurze wmieszała się w ciemny tłum żaków.

W izbie szkolnej było tłoczno i gwarno. Scholarze cisnęli się do trzech ksiąg jedynych, które posiadali,

choć i te były stare i zniszczone a od częstego użycia niemal czarne. Niektórzy widać pewni swojej wiedzy, albo mniej pilni, śmiejąc się coś sobie opowiadali. „Taceas!" zabrzmiał ostrzegawczy okrzyk i w izbie uczyniła się nagła cisza jakby makiem zasiał. Po chwili wszedł, a raczej wtoczył się w całej swej okrągłości dominus profesor w czarnej todze, podszytej karmazynowym atłasem i kanciastym birecie na głowie. „Czego się uczycie?" spytała szeptem Nawojka Marcina. „Na dzisiaj mamy zadane przepisy Katonowe pouczające o cnotach i przeróżnych obowiązkach życia".

— Na pamięć?

— Nietylko na pamięć ale i na wyrywki!

„Marcin", zahuczało nagle — „nie gadaj, tylko objaśniaj lekcję". I długa pałeczka profesora zatrzymała się na czarnej czuprynie Ślązaka. Na to hasło zerwał się Marcin ze swego miejsca i jął mówić bez wytchnienia: Bis dat qui cito dat — dwa razy daje, kto prędko daje. Benefici accepti cui memor esto — co się wykłada: bądź wdzięczen daru wziętego. Uderzył pałeczką dominus profesor w kant ławki i cała sala chórem powtórzyła:

. . . bądź wdzięczen daru wziętego. . .

„Wielkiej mądrości tutaj uczą" — odważyła się znów szepnąć Nawojka.

„To jeszcze nic, nasłuchasz się dopiero, gdy przyjdą godziny gramatyki łacińskiej i retoryki i arismetrici![1]) A i onej najciekawszej pod słońcem geometrii Euklidesa i fizyki Arystotelesa. Pomyśl tylko, beanie, wykładają nam też perspektywy, astronomii, astrologii i muzyki!"

„O Jezu, westchnęła z nadmiaru szczęścia Nawojka: tyle, tyle nauki. . ."

— — — — — — —

O godzinie dziesiątej zakończyły się przedobiednie lekcje i gromada żaków wyległa na dziedziniec. Rozległy się tajemnicze szepty: teraz, a może potem? nie, nie, teraz.

Maćko Janowita wskoczył na pień drzewa, leżący na podwórzu i zawołał:

„Towarzysze! Nie rozchodźcie się. Urządzamy o t r z ą s a n i e nowego scholarza".

„Świetnie, świetnie", przyklasnęli inni.

Nawojka słuchała tej przemowy wielce rozbawiona. Już tatuncio jej opowiadał jak to w żakowskim grodzie przyjmują nowoprzybyłego ucznia.

„Zaczynamy!"

Kilkanaście par rąk wypchnęło Nawojkę na środek dziedzińca. Wokoło niej ustawili się kręgiem żacy. Tylko mały Tomek z Gniezdna piszczał jękliwie, by go wpuścić do pierwszego szeregu ,gdyż inaczej ten spektakl ominie jego krótkowzroczne oczy. Maciek na pniu prezesuje. Silentium! — „Kim jest ten młodzian, co stoi tu obok? On twierdzi że studentem, ale my, mili bracia, mniemamy co innego! Jak się on nazywa?"

„Beanus, beanus, beanus" — zaryczało grubym głosem całe podwórze. „Beanus? bene! Teraz niech mi który z towarzyszy powie ,co to beanus za zwierzę?"

Na to uroczyście wystąpił z szeregu Stach z Szydłowca i z powagą wyrecytował:

„Beanus est Animal Nescius Vitam Studionem"[2])

„Bene. Od nas więc zależy, aby wiedział co to rzeczpospolita studencka. Bracia, nauczcie go tego!"

Hanna Muszyńska.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

[1]) Tak nazywano w średniowieczu arytmetykę.

[2]) Beanus jest zwierzątkiem nieświadomym życia studenckiego.

Redakcja nasza otrzymała z pewnego Gimnazjum Żeńskiego list, który z niewielkimi zmianami w układzie podajemy:

Do Redakcji!

Przed paroma tygodniami Gimnazjum Żeńskie S. S. Urszulanek w Krakowie odwiedziła naczelna Przełożona misyj zagranicznych, M. Maria de Lourdes, zamieszkała wówczas stale w domu misyjnym w Siamie.

Misjonarka opowiadała nam jak wielkie potrzeby i braki materialne stwierdziła, wizytując polską misję w Harbinie.



Dziesiątki dzieci w łachmanach głoduje; biedne matki częstokroć podrzucają swoje maleństwa przytułkom i ochronkom, nie mogąc ich wykarmić. Potrzeba apostołów dla pogan: chleba dla ciał i dusz!

Nas Polki powinna ta misja specjalnie obchodzić. W myśl haseł społecznych, które rzuca „Dziś i Jutro" powinnyśmy tym brakom w miarę sił i możności zapobiegać.

Szczególnie polecam tę sprawę młodszym koleżankom, które nie mają jeszcze dużo lekcyj, a które czują potrzebę zamienienia w czyn swego zapału i energii.

Nie możemy zgodzić się na to, aby polska misja była najuboższą. Gdyby każda szkoła dała coś na Harbin, o ile praca misyjna, byłaby łatwiejsza a misja — bogatsza.

Pomagać S. S. Urszulankom misjonarkom jest bardzo łatwo: oto można zbierać staniol, znaczki pocztowe, stare gazety, butelki itd. (te ostatnie trzeba spieniężać). Poza tym można urządzać różne imprezy na ten cel. U nas np. klasa II otworzyła sklepik z obrazkami a zysk będzie przekazywała na Harbin.

Zwracam się więc do Was, kochane koleżanki, z gorącą prośbą, aby ten apel nie pozostał bez echa!

Przyczyńcie się choćby najdrobniejszym wysiłkiem do pięknego dzieła, a radość dzieci harbińskich będzie Waszą nagrodą! Ofiary można skierowywać pod adresem: Gimnazjum S. S. Urszulanek w Krakowie, ul. Starowiślana 9, lub Kuria Prowincjalna S. S. Urszulanek, Warszawa XII, Łowicka nr 31.

Ewa Miratyńska,
Gimn. 440, kl. IV.

Najciekawsza książka?...

Najciekawszą ale i najmilszą książką jaką przeczytałam w tym roku — to również książka M a k u s z y ń s k i e g o „A w a n t u r a o B a s i ę". Już sam tytuł mówi za siebie. Była awantura prawdziwa, wszyscy walczyli począwszy od stróżki z miotłą aż do starej babci o zatrzymanie dla siebie Basi. Dlaczego walczyli o tę pięcioletnią sierotkę o buzi uśmiechniętej? Przeczytajcie sobie a dowiecie się, w czym tkwiła tajemnica walki o nią. Myślę, że samibyście walczyli równie dzielnie o Basię, gdyby stanęła na drodze waszego życia.

Marylka P.

W szkole

— Znowu się spóźniłeś, Karolku!

— A bo ojciec mnie potrzebował, panie psorze!

— Jakto? Nie mógł się kim innym wyręczyć?

— Nie mógł.

— A cóż takiego robił?

— Bił mnie w skórę...

Czy wiecie...

o dwóch pamiątkowych tablicach w Warszawie następującej treści:

1) „W tym domu*)
mieszkał w latach 1878-79
Stanisław Wokulski,
Postać powołana
do życia przez
Bolesława Prusa
w Powieści p. t. „Lalka"
Uczestnik powstania
1863 roku
Były Zesłaniec Syberyjski
Były kupiec i Obywatel
M. St. Warszawy
Filantrop i Uczony
Urodzony w r. 1832."

*) Ul. Krakowskie Przedmieście nr 4.

2) „Tu*) mieszkał
Ignacy Rzecki
Postać powołana przez
Bolesława Prusa
w Powieści p. t. „Lalka"
Były Oficer Piechoty
Węgierskiej, Uczestnik
Kampanii Roku 1848
Handlowiec
Sławny Pamiętnikarz
Zmarły w Roku
1879."

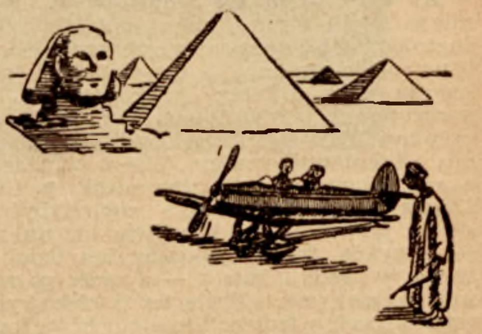
*) Ul. Krakowskie Przedmieście nr 7.

Z cyklu: „Co będę robiła po maturze?"

Szkoła Zarządczyń im. generałowej Zamoyskiej jest instytucją prywatną, subsydiowaną przez państwo, a mającą na celu przygotowanie i wykształcenie wykwalifikowanych kierowniczek pensjonatów, burs, internatów itd. Do szkoły tej przyjmuje się po ukończeniu sześciu klas starego typu. Program nauk obejmuje dwa lata, opłata miesięczna wynosi 25 zł. Pierwszy rok daje ogólne przygotowanie gospodarcze, drugi zaś dopiero poświęcony jest specjalizacji. Dlatego też osoby, mające ukończoną taką, czy inną szkołę gospodarczą (np. Kuźnice) przechodzą od razu na kurs wyższy stanowiący właściwą szkołę Zarządczyń. Wiadomą jest rzeczą, że kierowniczka pensjonatu, mająca wiele służby pod swym zarządem, musi sama znać się doskonale na wszystkim i umieć wszystko zrobić — od najmniejszej rzeczy, aż do najbardziej skomplikowanych. Dlatego też wszystkie uczennice Szkoły Zarządczyń muszą przejść przez zajęcia praktyczne, od gotowania począwszy a skończywszy na kuchni dietetycznej. Egzamin z umiejętności gotowania stanowi obiad na dwanaście osób ugotowany samodzielnie w przeciągu trzech godzin!!! Obok zajęć praktycznych są miejsca zajmujące w programie szkolnym wykłady. Dnie wolne od wykładów spędzają uczennice Szkoły Zarządczyń w przedsiębiorstwach pensjonatowych na praktyce.

W Polsce mamy wciąż jeszcze zbyt mało szkół zawodowych dla inteligencji, utrzymanych na odpowiednio wysokim poziomie. Daje się to bardzo dotkliwie odczuwać w wielu dziedzinach życia gospodarczego, gdzie samouków i dyletantów jest znacznie więcej od wykwalifikowanych pracowników. Dlatego to Szkoła Zarządczyń cieszy się wielkim powodzeniem i uznaniem w społeczeństwie, a dotychczas żadna chyba z uczennic wychodzących ze szkoły nie pozostała bez pracy.

MATURZYSTA NA WYCIECZCE



Panie drogi, gdzie my właściwie jesteśmy?

Uszkodzony rękopis.

P.sz.a..m ja n. k.a. ś.ia.a
J.k t.n w..t. co w p.l. l..a
Ja. t.n wi.tr c. ch..ry p..z.
B..ł..ch...y p.ch ł...dz.
W ci..ną mr..zn. d.l

W miejsce kropek wpisać odpowiednie litery i odczytać wiersz.

Marysia III. b. Gimn. 668.



O jako dobry i słodki jest, Panie, Duch Twój w nas! Alleluja!

Od redakcji

Kl. VII a Gimn. 668 Stanisławów. Wymiana myśli z tymi, którzy potrafią szlachetnie podejść do sprawy od strony dobrej i w sądzie unikają jednostronności jest zawsze miłą i z łatwością doprowadza do porozumienia. Pod tym kątem widzenia oceniam Wasz list i dziękuję zań serdecznie. Zakomunikowałam Wasze wrażenia o artykułach z dziedziny sztuki p. Cieślewskiemu. Może kiedyś zdobylibyście się na jakieś zapytanie w tym kierunku? Na przyszły rok utrzymamy ten dział o sztuce w „Dziś i Jutro" — a może go nawet rozszerzymy. Myślę też o ciekawych reportarzach z teatru. Umiejętność patrzenia na dzieła sztuki jest bardzo ważnym czynnikiem w zdobywaniu kultury osobistej. Podzielacie pewnie moje zdanie? Inne Wasze prośby redakcja będzie stopniowo realizowała, co stwierdzicie w najbliższych numerach.

Dziunia Kociubińska Lublin. Ucieszyłaś się! Tak jest bardzo często: siejemy we łzach, by zbierać w radości. Po tej stronie życia — to zwykła kolej rzeczy i trzeba odważnie i dzielnie codzienny trud podejmować, choćby się długo nie udawało Czytaj prócz najnowszych autorów naszych wielkich romantyków i pozytywistów. Czy znasz też dobrze Kasprowicza, Staffa (zwłaszcza końcową twórczość), Słończyńską? Lieberta? Pisz zawsze o wszystkim, gdy masz ochotę. Mnie każda osobowość interesuje. Wiersze miłe. Wydrukujemy coś, gdy się miejsce znajdzie. Nie ustawaj w pracy!

Marysia i Lusia kl. III Gimn. 668. Serdecznie się ucieszyłam waszym listem a jeszcze więcej zapewnieniem o współpracy w „Dziś i Jutro". Artykulik i niektóre drobiazgi widocznie zaginęły, a łamigłówki będą się pojawiać stopniowo w pisemku. Czekam na wasze miłe liściki i spełnienie obietnic.

Krystyna K. kl. IV. Gimn. 804. Wiersz nadesłany nie może pójść do druku, wymaga jeszcze dużego opracowania formy, choć zawiera głębokie myśli. Nie zrażaj się; jeśli nie teraz, to kiedyś będą rezultaty wytrwałej pracy. Nieprawda? Myślę, że wkrótce otrzymam długi list i bliżej się zapoznamy.

Bilety wizytowe

ułożyła Lusia gimn. 668.
Kl. III b.

1. *L. Sartoz* 2. *T. Girolaritno*

Jakie jest zajęcie tych osób?

TREŚĆ N-ru 17:

Warunki prenumeraty: rocznie 5 zł (za granicą 7 zł). — Numer pojedyńczy 30 gr. — Konto P. K. O. „Dziś i Jutro" 404 930. — Redaktor naczelny: Jadwiga Szarska. Red. odpow. i wydawca: Jadwiga Bahr. — Adres redakcji: Warszawa, Łowicka 31. — Administracji: Pokrzywno, p. Krzesiny. — Czcionki i druk: Drukarnia Polska Spółka Akcyjna Poznań, św. Marcin 70.